



Jozu Salu McFly

Jozu Salu McFly powszechnie uchodził za starego dziwaka. Mieszkał samotnie w opuszczonej chacie na skraju lasu i stroił od towarzystwa innych ludzi. Rzadko pokazywał się też w pobliskim miasteczku Smallmary. Jego wygląd był równie dziwny, jak imię, które nosił. Napawał zdumieniem okolicznych mieszkańców, a dla młodzieży był tematem do kpin i wyzwisk.

Twarcz starca była pociągła i pokryta licznymi zmarszczkami. Zapadające się policzki były dowodem, że nie jadał zbyt dobrze. Długa, siwa broda opadała mu na pierś. Miał w zwyczaju wiązać ją w warkocz. Przerzedzone włosy gdzieniegdzie świeciły łysymi placami. Ubrany był w zwiewną, przybrudzoną szatę, wyglądem przypominającą kobiecą koszulę nocną. Nie dbał o czystość ani higienę. Sprawiał wrażenie żalosego starca, któremu poprzestawiało się w głowie. Wytykano go palcami. Kilku młodzieńców często zapuszczało się na skraj lasu, aby dla frajdy obrzucić jego dom kamieniami. Niektórzy za punkt honoru uznawali zaczepianie niedoleźnego starucha, który natychmiast reagował napadami szału.

Szopa, w której Jozu mieszkał, była pozostałością po magazynku dla wędkarzy. Postawiona pół wieku temu, obecnie grozi-

ła zawaleniem. Dach uginał się pod ciężarem mchu i grubej warstwy ziemi. Wyglądał, jakby zaraz miał się zapaść. Szyba w oknie była wybita. Drzwi wykonane z kilku spróchniałych desek, skrzypiały na wietrze, rozdzierając głuchą ciszę. W środku nie było kominka ani paleniska. W rogu mieszkania stało stare, zniszczone łóżko, pokryte białą, łuszczącą się farbą. Na przeciwległej ścianie wisiał przykurzony obraz. Przedstawiał portret kobiety o długich blond włosach. Ubrana w czarny płaszcz i ozdobiona diamentową biżuterią, łypała złowrogo na zaciemnioną sień. Pod obrazem stał niewielki stół zbity z niedokładnie okorowanych desek.

Jozu spędzał wiele godzin siedząc na łóżku i wpatrując się w zakurzony portret. Jego serce przepelnione było żalem i rozpaczą. Wielokrotnie zalewał się łzami, gdy wspominał dawne życie, błędy, które popełnił i utraconych bliskich. Tak też było pewnej październikowej nocy, kiedy ktoś po raz kolejny postanowił zakłócić jego spokój.

Noc była mroźna. Hulał silny wiatr, poruszając łysymi konarami drzew. Deszcz zacinał, a jego lodowate krople rozbijały się o złote liście spoczywające na dachu chaty i obficie wyścielające polanę, zamieniając je w mokrą breję. Padało nieprzerwanie od kilku dni. Zdawało się, że w taką pogodę nikt nie zechce zapuścić się w te strony.

Wycie wiatru zakłócił niespodziewany trzask jakby łamanych gałęzi. W okamgnieniu, z ciemności wyłoniły się sylwetki trzech postaci. Ubrane na czarno, z twarzami skrytymi pod kapturami, gorączkowo rozejrzały się po polanie. Najwyższy z przybyszy uniósł dłoń, w której trzymał kilkucalowy patyk, wyglądem przypominający wskaźnik. Jego koniec rozjarzył się jasnym płomieniem, który oświetlił pograżoną w ciemności polanę. Upewniwszy się, że nie ma nikogo w pobliżu, przybysze ruszyli w kierunku chaty, stojącej samotnie na skraju ponurego lasu.

— Jesteś pewien, że tutaj go znajdziemy? — rozległ się aksamitny kobiecy głos, który wydała z siebie najniższa i najdrobniejsza zakapturzona postać.

— Oczywiście – syknął gruby męski głos z lekkim poirytowaniem. — Musiał się ukryć po tym, jak wsypał wszystkich swoich przyjaciół. Był gotowy zrobić wszystko byle tylko uniknąć Azkabanu.

— Ale nie wydaje ci się, Rowle, że znalazłby sobie lepszą kryjówkę? — zapytała kpiącym tonem kobieta. — Poza tym, słyszałam, co mówili o nim mugole. Podobno jest obłąkany.

— Trudno mu się dziwić, Jacqueline — odparł męski głos należący do trzeciej, najwyższej postaci. — Nasz stary znajomy kilkakrotnie lądował w Azkabanie, jeszcze za czasów dementorów. A wiesz doskonale, jak oni działają na człowieka. Poza tym, dobiła go śmierć jego ukochanej żony. Nie mógł się po tym pozbierać.

— No właśnie — odrzekł Rowle. — Kiedy mu całkiem odważyło, jego syn załatwił mu przeniesienie na oddział zamknięty do Munga. Jakimś cudem udało mu się nawiać, ale nikt już go potem nie szukał.

— Wizengamot uznał, że nie stwarza już zagrożenia — dodał drugi mężczyzna.

— W takim razie, nie będzie w stanie nam pomóc — oznajmiła kobieta, rozglądając się nerwowo po polanie. Zdawało jej się, że usłyszała jakieś kroki.

— Jedyne czego potrzebujemy, to kilka wspomnień — odrzekł wysoki mężczyzna. — A te można zdobyć bez względu na jego stan psychiczny.

Pozostała dwójka spojrzała po sobie.

— Oksydusie – zaczęła nerwowo Jacqueline. — Zastanawialiśmy się, w jaki sposób wspomnienie śmierciożercy może nam pomóc?

— Przecież on nie był nawet najbliższym współpracownikiem Czarnego Pana! — dodał Rowle. — Był nikim.

Mężczyzna nazwany Oksydusem zatrzymał się i popatrzył na swoich towarzyszy z poirytowaniem. Ci sprawiali wrażenie nieco przestraszonych.

— Doskonale wiecie, że szczegóły planu znają tylko członkowie Rady — odrzekł z naciskiem. — I tak pozostanie. Jeśli będziecie za dużo się zastanawiać, możecie skończyć jako pożywka dla wilkołaków.

Oksydus ruszył dalej a pozostała dwójka nerwowym krokiem podążyła za nim. Po chwili stanęli przy starej chacie. Z małego okienka tliło się jasne światło świecy. Dało się słyszeć cichy szloch.

— Zastaliśmy gospodarza — szepnął Oksydus, z impetem otwierając spróchniałe drzwi. Cała trójka wkroczyła do sieni, zrzucając kaptury. Jozu McFly, przerażony, padł na podłogę i skulił się w kącie.

— Dobry wieczór — odrzekł ze sztuczną uprzejmością Oksydus.

— Thorfin... Thorfin... — wybełkotał Jozu z przerażeniem spoglądając na Rowle'a. W świetle świecy dało się dostrzec złośliwy uśmieszek na twarzy barczystego mężczyzny. Spod gęstej blond czupryny złowrogo świeciły brązowe oczy.

— Poznałeś mnie, drogi druhu! — zawołał z kpina Rowle. — Ja ciebie poznaję z trudem. Zdaje się, że użyłeś zaklęcia postarzającego.

— Czego... czego chcesz?... moja droga... moja kochana... włamali się do mnie... — bełkotał starzec bardziej do siebie niż do przybyszy.

— Potrzebujemy kilku twoich wspomnień — oznajmił rzeczowo Oksydus. — Zakładam, że ofiarujesz je nam po dobroci.

— Nic nie dostaniecie! Wynoście się, paskudne szlamy! — za-

czał wrzeszczeć starzec, błyskawicznie podnosząc się z podłogi. — Wynoście się! Moja kochana... najdroższa... nic im...

Urwał i zawył z bólu. Klątwa Cruciatus przeszła jego wątłe ciało. Każdy mięsień, stawy, kości — wszystko przepelniał niewyobrażalny ból. Rowle śmiał się jak opętany. Jacqueline stała w kącie, spoglądając na wijącego się z bólu starca. Jej twarz wyrażała głębokie obrzydzenie.

— Dość! — wrzasnął nagle Oksydus, a śmierciożerca natychmiast przerwał tortury. — Zakładałem, Rowle, że masz ambitniejsze plany niż torturowanie tego starca.

— Chciałem go zmobilizować do współpracy — odrzekł z lekkim oburzeniem.

— To nie było konieczne — odparł karcącym tonem Oksydus, spoglądając z politowaniem na Jozu. — Twój dawny kompan nie posiada niestety żadnego cennego wspomnienia. Nic, o czym byśmy już nie wiedzieli.

Jacqueline i Rowle obdarzyli go zdumionymi spojrzeniami. Jozu próbował podnieść się z podłogi i wgramolić na łóżko. Jego pierś unosiła się i opadała w przyspieszonym tempie. Obolałe ciało odmawiało mu posłuszeństwa.

— Przejrzałem jego najgłębiej ukryte wspomnienia — odrzekł Oksydus do swoich towarzyszy, a widząc ich otępiałe twarze, dodał takim tonem, jakby tłumaczył coś skomplikowanego kilkuletnim dzieciom — Jeśli zapomnieliście, jestem mistrzem legilimencji. Umysł tego starca jest dla mnie niczym otwarta księga, czekająca by ją przeczytać. Nie ma tam jednak niczego wartego uwagi.

Jozu zawisł na krawędzi łóżka, stękając z bólu.

— Czyli wszystko na nic? — spytała zrezygnowanym tonem Jacqueline. Oksydus wyglądał na rozzłoszczonego. Choć sprawiał wrażenie spokojnego, w jego szarych oczach widać było złowieszczy błysk.

— Niezupełnie — odrzekł po chwili ciszy, od czasu do czasu przerywanej pojękiwaniem starca. — Mam wreszcie pewność. Przekonałem się, że to czego potrzebujemy, ma Albus Dumbledore.

— Przecież on od dawna nie żyje — powiedział zaskoczony Rowle. — Spadł z wieży astronomicznej. Widziałem to na własne oczy!

Choć Jacqueline była równie zdumiona, Oksydus nie silił się na jakiegokolwiek wyjaśnienia.

— Czas zakończyć wizytę — oznajmił, ignorując pytające spojrzenia towarzyszy i obdarzył zimnym spojrzeniem starca. — Żegnaj, mój drogi.

Koniec różdżki Oksydusa rozbłysł zielonym światłem, które z impetem uderzyło w pierś starca. Jozu bezwiednie opadł na ziemię, wydając z siebie ostatnie tchnienie. Jego oczy stały się puste i pozbawione wyrazu.

— Miło było cię znowu spotkać, Lucjuszu — zarechotał Rowle.

— Jeszcze nasza wizytówka — przypomniała Jacqueline. Oksydus skierował różdżkę na spróchniałe drzwi chaty. Pojawił się na nich duży, wypalony ogniem symbol. Rozległ się potrójny trzask i przybysze rozplynęli się w powietrzu.